

Józef Mackiewicz

Założenie z góry, kto ma być „dobry”, a kto „zły”, utrudnia przedstawienie rzeczy, czy to powieściowe, czy historyczne, czy, sądzę, każde inne. Dlatego autorzy powieści kryminalnych dla uzyskania maksymalnego zaciekawienia u czytelnika, uciekają się do znanego chwytu, aby do końca nie było wiadome, kto okaże się mordercą... W rezultacie okazuje się często, że jakaś poczciwa ciocia, której nikt nie podejrzewał. Robią to też wielcy pisarze.

Np. w jednym z najznakomitszych dzieł literatury światowej, „Bracia Karamazow”, Dostojewski urywa akcję na poszlakach wskazujących, że zabił Mítia Karamazow. Dopiero w końcu dowiadujemy się, że nie on. Bez tego napięcia i zaciekawienia akcją strona filozoficzna książki straciłaby 70% czytelników. Odwrotnie, beznadziejnie nudna jest literatura sowiecka, gdyż z reguły wiadomo, że sekretarz Obkomu, Partkomu, Gorkomu będzie postacią świetlaną, a przeciwnik ustroju komunistycznego zdecydowanym podlecem. Taki schemat podziału na z góry „złych” i „dobrych” odnajdujemy często w literaturze narodowej o tematyce historycznej. W tym wypadku linią rozgraniczającą będzie przynależność narodowa występujących w książce osób. A im bardziej patriotycznie usposobiony autor, tym więcej z góry wiadome.

Dlatego – przyznam szczerze – z pewnym ociąganiem się brałem do ręki książkę Wiktora Trościanki pt. „Wiek męski” powieść o tle historycznym z czasów 20-lecia niepodległości i kampanii wrześniowej. Słyszałem bowiem, że autor należy do tzw. Obozu Narodowego, w skrócie przezwanego u nas tradycyjnie „endecją”. Obawiałem się zbytniej jednostronności. Omyliłem się. Jest to książka niezmiernie ciekawa i z talentem napisana.

Swoim zwyczajem czytania jednocześnie kilku książek na zmianę, czytałem właśnie Solżenicyna „Krag pierwszy”; atamana kubańskich kozaków Naumienki „Wielikoje priedatielstwo /Wielka zdrada/” byłego ministra hitlerowskiego Alberta Speera „Erinnerungen /Wspomnienia/”. Wszystkie o tle historycznym. W pierwszej dominującą rolę gra załaganie sowieckie; w drugiej „słowa honoru” oficerów brytyjskich, łamane jak zapalki; w trzeciej kretynizm dyktatora i pochlebców. ” – Zacząłem czytać Trościankę i na razie odłożyłem tamte, dopóki nie skończyłem „Wieku męskiego”. Nie dlatego, sądzą, iżby porwała mnie akcja, której znaczna część odbywa się w moim rodzinnym mieście Wilnie. Raczej pochłonęły mnie refleksje, jakie się nasuwają przez konfrontację tego odcinka polskich dziejów z tym wszystkim, co wiemy dziś o szerokim świecie doby współczesnej.

Już słyszałem, że to powieść „autobiograficzna”. Niech będzie, lub nie. To nie ma znaczenia ani dla oceny artystycznej, ani rzeczowej. Zaczyna się w Wilnie po pierwszej wojnie, później w Warszawie. Toczy się przez Polskę niepodległą do drugiej wojny i kończy ucieczką z powrotem do tego Wilna, już przez kordony okupantów. – Zaczyna się młodością, szukaniem dróg, miłością, żeniactwem, jak to w życiu i powieściach odtwarzających życie. Wileńskie krajobrazy przetykane odwrotną stroną medalu „miłego miasta”...

Wilno, choć położone w tzw. Polsce-B miało, z niewygasłych jeszcze tradycji, poważny wpływ na kształtowanie psychiki odrodzonego państwa. Dochodziły fryzowane tradycje i legendy, które usiłowano przybudować do starych. Dochodził konflikt międzypaństwowy z Litwą, bliskość granicy sowieckiej, komunistyczna infiltracja, mieszanina narodowo-wyznaniowa mieszkańców kraj,; masa nierozwiązanych problemów. Na rozwiązanie zabrakło, do r. 1939, czasu. O tym Wilnie onych dni napisało po wojnie sporo osób. Jerzy Putrament na swój politrukowski ład; Czesław Miłosz, Wiktor Sukiennicki z pozycji poszukiwań form demokracji; Tadeusz Lopalewski, który zdążył zawetować na rzecz PRL-u; towarzyszką Jędrychowska, słowem dużo ludzi. Nawet Anatol Mikulko. Był taki, później w Związku Patriotów moskiewskich. Pomijam masę różnych przyczynków. Złożyło się tak jednak, że chyba wszystkie te prawdziwe i nie zawsze prawdziwe wspomnienia pisane były pod kątem, mniej lub więcej, demo-socjalistycznym. Lub w kraju teraz: pod-komunistycznym.

Trościanko, pierwszy bodaj, napisał z pozycji „endeckiej”. Trzeba mu jednak przyznać, iż nie forsuje w swej książce, nie przenosi na koci bruk wileński dogmatów „Pana Romana” w tym

stopniu, jak to w obozie przeciwstawnego mu kultu czyni się często z wersetami „Komendanta”. Z mego punktu widzenia dostrzegam w jego książce pewne zgrzyty. Wyróżnia się ona jednak tym przede wszystkim, że autor pisze również o rzeczach, o których tamci nie piszą. Przemilczają bądź zupełnie, bądź prawie zupełnie. I tego powieść Trościanki, od strony wileńskiego tła historycznego stanowi cenne uzupełnienie

„Kogo to obchodzi!...” – jest to slogan spreparowany przez towarzyszy w łonie KC Partii dla zniechęcenia czytelników do niekomunistycznego „wspominkarstwa”. Poparty przez stronników „nieodwracalności przemian”, przerzuca się po trochu na emigrację. Nasza mała emigracja tym się, moim skromnym zdaniem, różni od Wielkiej Emigracji, że nie stanowi natchnienia dla kraju, lecz przeciwnie: pada plackiem przed byle inspiracją z tamtej strony. Więc też zaczyna narzekać, że za dużo u nas „wspominkarstwa”, a za mało tego „czym żyje Kraj” /przez duże K/, a już zwłaszcza przemodna dziś na całym świecie „Młodzież”.

Zwróćmy jednak uwagę na zabawne rozgraniczenie u źródeł tej inspiracji, „Lenin w Poroninie w r. 1912” nie jest tam lekturą dla starszych, a „Piłsudski w Magdeburgu w r. 1917” jest już dla starszych. „Bitwa warszawska w r. 1920” to nudne wspominkarstwo, nikogo dzisiaj nie obchodzące; ale „Pamiętniki” z tego samego roku, byle po bolszewickiej stronie, to żywa historia. Nawet rok 1905 o wiele jest aktualniejszy od dwudziestolecia niepodległości. Owszem, zaczyna się od kampanii wrześniowej r. 1939 w walce z Niemcami. Żywe, aktualne zawsze. Ten sam jednak rok 1939 po stronie pierwszych deportacji sowieckich, to gładzenie reakcji, zalatujące naftaliną konfiskowanych futer. Terror niemiecki, kacety niemieckie, zbrodnie niemieckie nie schodzą z afisza kin, literatury, radia, rocznic, obchodów, czytanek szkolnych, wycieczek zbiorowych, terror i łagry sowieckie w identycznych latach, to wspomnienia minionych ludzi „minionego okresu”. Ta dwoistość sloganów rozciąga się do pewnego stopnia i na dziedziny dalekiej przeszłości. Bolesław Chrobry jest wciąż świeży, jakby co tylko otrzymał partbilet PZPRu. O kilka wieków późniejszy od niego Jagiellonowie, to zardzewiałe dzieje, nie warte postępowego pióra...

Rozprawa sanacji z polskim komunizmem, owszem. Ale poza tym?... – OZON, oficerowie legionowi, Rydz-Śmigły, przewrót majowy, Dmowski, BBWR, tamte sprawy, sprawki, ideały, problemy, dążenia, cała ta miniona niepodległość – już słyszałem inspirowaną szeptaninę i pod adresem książki Trościanki. Kogo to dziś obchodzi?!” Wspominkarstwo godne na użytek starych ramolów chyba. Zdarza się nawet usłyszeć zarzut, że te opisy krajobrazu tak nie rymują się z postępem, zalatując ni to Rodziewiczówną, ni to Orzeszkową...

Trościanko opisuje:

„Noc na Zwierzyńcu pachniała już bzem. W rzece tonęły gwiazdy. Michał otworzył drzwi na balkon i słuchał jak na drugim końcu miasta lokomotywa ruszała w świat...”

” ... ścigały się z dzwonicami kościołów bukiety kasztanów, klonów... Na linii najbliższej śródmieścia ogrody bżów, zwykłych pojedynczych i pełnych, giętkich, w których najlepiej było szukać szczęścia...”

„Popołudniowe słońce zeszło z domów przedmieścia i położyło się długimi smugami na polach owsa, kartofliskach, piaskach... Autobus podnosił ogon jasnego kurzu, bo dawno już nie było deszczu..

„Za oknem koniki polne zaczęły swój dialog z ciszą”... „Nad wierzchołkami sosen przesuwiał się księżyc, zaglądając do ptasich gniazd...”

„Plaga Kozłowskiego widziana z mostu Poniatowskiego... Mrowisko odpoczynku”.

Szczerze zazdroszczę autorowi, autorowi takich podpatrzeń. Piękne są też jego opisy przechadzek po ulicach, wśród domów, kościołów, po zaułkach starego Wilna.

„Zgrzytem” bym tego, ostatecznie, nie nazwał. Ale jedna rzecz szczególnie mnie zastanowiła w książce Trościanki. Wspomina on – ustami swego bohatera – że jest z dziada-pradziada synem tamtej ziemi. Ja też. Jak więc doszło do tego, że dzieli nas aż taka przepaść w stosunku do

ojcowizny? Bo to już nie różnica poglądów politycznych, programów, haseł, czy niechęci personalnych do przedstawicieli jakichś ugrupowań. W autorze „Wieku męskiego” odczuwa się po prostu żywiołową niechęć do historycznej przeszłości rodzinnego kraju.

Wilno było stolicą Wielkiego Księstwa Litewskiego przez długie wieki związanego wieloma uniami z Koroną Polską. Odrębność Wielkiego Księstwa zniesiona została definitywnie przez Konstytucję 3 maja 1791 a więc dopiero u samego schyłku długich dziejów „Obojga Narodów”. Tradycje jednak tej odrębności, czy tylko romantyzmu historycznego, przetrwały poprzez Mickiewicza: „Litwo, ojczyzno moja ...”, cały wiek XIX aż do ostatnich czasów. Odżyły z chwilą odrodzenia Rzeczypospolitej po pierwszej wojnie światowej. Czy to w postaci „idei federacyjnej” Piłsudskiego, czy „idei jagiellońskiej” w programie politycznym tzw. „krajowców”, o bardzo różnych zresztą odcieniach. W skąpszym „regionalizmie”. W gestach, afektach, patosie jednostek: konkretnych planach innych. W hasłach, sloganach, nierealnościach i błędach. Na tle okrzepłej tymczasem państwowości Republiki Litewskiej, o wyraźnie antypolskiej, antyunijnej tendencji emocjonalnej, i początków antypolskiego nacjonalizmu białoruskiego, co rzecz całą niezmiernie komplikowało. – Nawet na najbardziej pobieżne przedstawienie stanu faktycznego w tym splocie, nie byłoby tu miejsca. Powstrzymuję się też od precyzowania własnego stanowiska, jakie próbowałem zająć w koncepcjach odrodzenia tej sui generis idei jagiellońskiej, przed samą wojną i po wrześniu 1939, dopóki władze litewskie nie odebrały mi koncesji na redagowanie i wydawanie pisma./Na Litwie wymagały te rzeczy specjalnej „koncesji”/.

Wszystko to można uważać za mrzonki, za pomysły nierealne, plany poronione. Dobrze. Z politycznego stanowiska nacjonalizmu polskiego można traktować tamte programy jako fałszywe, jako szkodliwe dla interesów polskości, czy Polski w ogóle. Zgoda. To rzecz poglądów i wolnej polemiki. Ale Trościankę wyraźnie drażni już sama historyczna nazwa jego ojcowizny, – /Język polski nie zna rozróżnienia, jak niemiecki, pomiędzy: „Heimat” – bliższa ojczyzna, i „Vaterland” – ojczyzna w szerszym pojęciu./ – Zwłaszcza wydaje się, że działa mu na nerwy staropolska jej pisownia: „W Księstwo”, przez „X”. Skąd się u niego ta głęboka niechęć, przechodząca w szyderstwo, bierze?

Zastanawiam się. Czy dlatego, że nacjonalizmy, podobnie jak socjalizmy, komunizmy, faszyzmy, mają w swym dążeniu do bezwzględnej dominacji ten wspólny pierwiastek, że nie znoszą konserwatyizmu? Czy też działa tu znane prawo, które kłótni rodzinnej i wojnie domowej przydaje często bardziej zaciekły charakter? – Bo i z drugiej strony – i w tym Trościanko ma niewątpliwie rację – ideolodzy „W. Księstwa” z większą zaciętością zwalczali endeków polskich niż „endeków” litewskich czy białoruskich, chociaż byli oni wielokrotnie bardziej wrogo usposobieni do każdej formy wspólnoty, dostrzegając w niej wręcz zdradę narodową.

W każdym razie ten fragment książki wydaje mi się potraktowany z przejawieniem osobistych emocji autora. Zbiegiem okoliczności pokrywają się w tym miejscu z pewnymi ultra-OZONowymi tendencjami. Widziałem na własne oczy czytanki szkolne przeznaczone dla szkół wiejskich na Wileńszczyźnie, gdzie Mickiewiczowskie:

„... Ojczyzno moja”, drukowane było z wykropkowaną: „Litwo”...

Inny rys, na którego temat chętnie bym podjął dłuższą gawędę polemiczną z autorem, to retrospekcja okresu sprzed pierwszej wojny. Czasy panowania rosyjskiego kolorowane są u nas w zgęszczonej czerni ucisku. Tradycja tego przedstawienia nie należy już do „Obozu Narodowego”, lecz wszechnarodowego. Pod tym względem prześcigniona bywa wielokrotnie przez pióra lewicy polskiej, a już zwłaszcza lewicy piłsudczykowskiej. Trościanko nie jest w tym ani oryginalny, ani odosobniony. Przelicytują go i Miłosz, i Sukiennicki, i... Zresztą wszyscy Polacy piszą to samo. Może z jednym wyjątkiem relacji M. K. Pawlikowskiego, „bezprzebłyśkość” /biezproświenność/ onego życia – kto go nie zna! – może się wydać przygnębiająca. A kto znał, też przeważnie będzie pisał na nutę narodowej martyrologii, bo taki jest usus odindywidualizowanego patriotyzmu, i kolektywna reguła. Nie żeby było nieprawdą. Ale wytwarzane nastroje osiąga się tu przez cytowanie prawdziwych faktów, z pominięciem innych prawdziwych faktów. Za obszerny to temat.

Zatrzymajmy się na jednym przykładzie cytowanym w powieści Trościanki.

Na str. 40 przytacza on słowa prof. Stanisława Cywińskiego do ucznia: „Widzicie chłopcy... Tu, w Wilnie z polskiego można było... głośno szydzić, po cichu myśleć jak o modlitwie. Tutaj widzimy w publicznych miejscach napisy: wospriesczajetsia goworit po polski . Wy tego nie rozumiecie. I chwała Bogu...” itd.

Prof. Cywiński na pewno tak mówi i, czy mógł mówić. Był wielkim patriotą polskim i wielkim, ideowym wrogiem Rosji. Był też i moim nauczycielem w 4-jej klasie gimnazjalnej, pierwszego polskiego gimnazjum w Wilnie. Stowarzyszenia Nauczycielstwa Polskiego, utworzonego zaraz po wkroczeniu Niemców w r. 1915. Cywiński był wtedy, pamiętam, „orientacji” austro-niemieckiej, zwolennik Piłsudskiego. Większość klasy, może przez przekorę, „orientacji” rosyjskiej, i – bywało – bił nas na głowę w polemice, co zresztą, ku naszej uciechu, odbierało wiele czasu od nudnej lekcji łaciny, którą nam wykładał. Zapewne i później popadał Cywiński w wywody tego rodzaju. /Później stał się gorącym przeciwnikiem Piłsudskiego/.

Ale zarówno słowa Cywińskiego jak wybór tych właśnie w książce Trościanki, może sugerować czytelnikowi, że w Wilnie pod zaborem rosyjskim „tak-było” niejako zawsze i do końca. Czyli z pominięciem faktów, zwłaszcza tych po r. 1905. Należy to, jak wspomniałem, do linii patriotycznej przedstawiania rzeczy w ten sposób nie tylko w literaturze, ale i historiografii polskiej. – /Por. Władysław Pobóg-Malinowski: „Najnowsza historia Polski”, tom I, str. 201, gdzie twierdzi, że na Litwie, nawet po r. 1905: „... fala ucisku... za nauczanie języka polskiego... karze wysoką grzywną lub więzieniem...; narzucano też język rosyjski w nauce religii i uparcie dążono do wyrugowania polskiego nawet z kościoła katolickiego.../!” itd./

W rzeczywistości fakty przedstawiały się nieco inaczej. Właśnie w tym czasie godziny języka polskiego wprowadzone zostały do gimnazjów rosyjskich w Wilnie. O ile się nie mylę, prof. Cywiński wykładał wtedy język polski w niektórych z nich. A w gimnazjum, do którego uczęszczałem sam /prywatne gimnazjum Winogradowa, „ze wszystkimi prawami”/, zdarzyło się np.... – Proszę mi wybaczyć, że i mnie porywa namiętność wspominkarstwa:

Język polski wprowadzony został jako nie obowiązujący, „na żądanie rodziców”. Naturalnie wszyscy rodzice dzieci polskich zgłosili to żądanie. Wykładała p. Gosiewska. /Nawiasem: ciotka, jakże pamiętnego w Londynie, ś. p. Kazimierza Rudzkiego, ułana krechowickiego, męża milej pani Ludwiki Rudzkiej z „Ogniska”/. Ale na lekcje polskiego trzeba było przychodzić o pół godziny wcześniej. Stąd, mimo ciągłych upomnień nauczycielki i odwoływania się do odczuć patriotycznych, spóźnianie się na lekcje stało się regułą. Wreszcie sam dyrektor, postrach gimnazjum, Emilian Jelifierijewicz Prawosudowicz, miał tego dosyć. Osobiście ustawił się pewnego ranka w szatni i każdego, kto się spóźnił na „język polski”, ukarał godziną odsiedzenia po lekcjach..

Z religią katolicką też było inaczej, niż o tym pisze Pobóg-Malinowski. Wykładano ją w klasach w języku polskim /kapelan X. Kiersnowski/. I modlitwa przed lekcjami dla katolików wszystkich klas, odbywała się w największej sali gimnazjum /bo katolików było najwięcej/, też w języku polskim. Prawosławni i Żydzi mieli swoje mniejsze salki.

Autor „Wieku męskiego” jest zapewne młodszy i tamtego wieku nie pamięta. A różnił się on i poniekórymi manierami od tego, który miał nastąpić. Jeszcze tylko jedno krótkie wspomnienie: Już za czasów niepodległości był w Wilnie generał Jasiński, Jedyne pełne „endek”, którego widywałem w pełnym mundurze generała polskiego. Kiedyś, akurat w towarzystwie wicemarszałka sejmu Aleksandra Zwierzyńskiego i Piotra Kownackiego, słyszałem jego opowiadanie z czasów, gdy był młodym podporucznikiem gwardii artylerii konnej w Petersburgu:

Jasiński trafił do gwardii mimo wyjątkowo niskiego wzrostu. Pewnego razu, jeden z wielkich książąt, schodząc po schodach kasyna oficerskiego, z lekka podchmielony, a ubawiony niskim wzrostem podporucznika, który akurat wstępował na górę, mijając dotknął go białą rękawiczką w ciemną czapkę. Jasiński obraził się i zgłosił do raportu. Dowódca pułku odradzał robić z rego

„sprawę”, ale Jasiński się uparł. Skargę przekazano wyżej. Generał brygady też odradzał, ale Jasiński się uparł. Generał dywizji perswadował, iż ze względu, hm... na osobę wielkiego księcia... Ale podporucznik nie ustąpił. Regulamin nie przewidywał w takich wypadkach nic innego niż przekazanie sprawy instancji wyższej. Generał korpusu zapytał, czy podporucznik Jasiński nie zechce wycofać skargi. – Nie, wasze priewoschoditelstwo. – Dobrze – powiedział generał z uśmiechem. – „Awoś nie dadim obidiet /a nuż nie damy pokrzywdzić”.

- I wielki księżę zmuszony był przeprosić podporucznika Jasińskiego /Polaka-katolika/.

Ongisiesza pragmatyka oficerska... – Ale wróćmy do książki Trościanki.

Słyszałem od wszystkich, co ją dotychczas przeczytali, że byli wstrząśnięci dramatycznym opisem napadu oficerów jednego z pułków legionowych na mieszkanie prywatne wspomnianego prof. Cywińskiego. Stało się to w lutym 1938. Zasłużony pedagog, stary patriota i stary człowiek, był bity na oczach rodziny kolbami pistoletów po głowie. Zmasakrowanego, umazanego we krwi, powalono na ziemię i kopano, tratowano butami.

- Na miłość boską! ... Panowie! ... Zostawcie męża! – błagała żona. – Przecież on chory, bezbronny... kaleka!

- Mamo! ... Za co oni biją?!!!

Następnie oficerowie legionowego pułku w liczbie około pół setki, w białych rękawiczkach z pistoletami, przy szablach z opuszczoną pod brodę podpinką czapek, na znak, że działają służbowo, wtargnęli do redakcji „Dziennika Wileńskiego”, gdzie skatowali i skopali butami Aleksandra Zwierzyńskiego, prof. Fiedorowicza, pobili innych pracowników, w chamski sposób znieważyli Zofię Kownacką...

Fragment istotnie dramatyczny. Robi szczególne wrażenie, gdyż Trościanko opisuje bez patosu. Raczej sucha sumienna relacja jak to było. Że było tak właśnie, a nie inaczej, we wszystkich szczegółach, wiem dobrze. Znałem bowiem czas i miejsce, i osobiście tych ludzi, /Poza jedynym sprostowaniem, że Zofia Kownacka nie miała „siwych oczu”, jak czytamy w książce, mógłbym potwierdzić każde słowo z relacji Trościanki na podstawie tego, co już nazajutrz słyszałem z pierwszej ręki/.

Najbardziej wstrząsające wydaje się wszakże nie to, że starzy, zasłużeni Polacy byli masakrowani kolbami pistoletów, leżąc na ziemi, kopani w głowę oficerskimi butami oficerów polskich

...Za to jedynie, że prof. Cywiński ośmielił się w „Dzienniku Wileńskim” zamieścić artykuł – nie wymieniając zresztą imienia, jakoby krytykujący zmarłego przed trzema laty Piłsudskiego... Najbardziej wstrząsający wydaje mi się fragment przybywających po napadzie przedstawicieli egzekutywy prawa, policji, na czele z wicestarostą grodzkim. Którzy nie ścigają przestępców, lecz... aresztują i zabierają do więzienia ofiary przestępstwa.

Pamiętam, iż nie nastąpiła żadna reakcja ze strony społeczeństwa. Nawet nieśmiałe próby ogłoszenia protestu ze strony zawodowego Syndykatu Dziennikarzy przeciwko masakrowaniu kolegów z redakcji spełzły na strachliwym gadulstwie.

Dramat pokolenia? W Polsce? – Dziś, z coraz dalszej perspektywy, już europejskiej, z lekka tylko przymrużywszy oczy na tzw. niedopuszczalne porównania, wydaje się raczej: dramatem epoki. łącznie z tym krępowaniem obiektywnego porównania. /Najdonioślejszy, jak wiemy, wynalazek przewrotu bolszewickiego/. Epoki kultu ponad prawem, sloganu ponad argumentem, faryzeizmu słów, zacieśnienia horyzontów myślowych; epoki neo-”humanizmu” w służbie dzierżących władzę; „awangardyzmu” z konfidencjonalnego poparcia. Epoki, w której wielki humanista komunistycznego maquis, Albert Camus, laureat Nobla, może napisać: „Żyjemy w czasach... doskonałej zbrodni... która morderców nawet zamienia w sędziów ...” Ale nie może wytknąć palcem klasycznego przykładu ich sędziowania jak np. Sowietów w sprawie katyńskiej, w Norymberdze/. Bo by – przestał być „humanistą”.

Ponieważ niektóre szczegóły, które się kiedyś uważało u nas za ujemne zjawisko specyficznie polskie, z dzisiejszej perspektywy nie wydają się już tak bardzo polskie. Nawet w ich nieprzejrzystości na zamglonym odcinku wileńskim, nie zdają się teraz lokalnym paradoksem, a raczej prototypem współczesnego „postępu”.

Trościanko tylko ubocznie dotknął głośnej sprawy „wileńskiej lewicy akademickiej”, wyczerpująco przedstawionej przez Wiktora Sukiennickiego w jego książce: „Legenda i rzeczywistość” /Paryż, 1967/. Pamiętam z owych czasów, że trudno było rozeznać się w tej gmatwaninie. Komunizujące „Żagary” wychodziły jako dodatek sanacyjnych organów prasowych, bo już wtedy była stawka na „Młodzież”, która te „Żagary” firmowała. Dzisiejszy minister spraw zagranicznych PRL-u, Stefan Jędrzychowski /zanim zdążył jako członek komunistyczno-litewskiego sejmu zjechać do Moskwy z prośbą o włączenie Wilna do „rodziny mas pracujących” w r. 1940/, jeszcze w r. 1933 otrzymywał polskie państwowe stypendium zagraniczne i posadę w konsulacie Rzeczypospolitej w Strasburgu. Katolicyzujący komunista, Henryk Dembiński – stypendium państwowe do Rzymu.

Sukiennicki w swej książce poświęca m.in. sporo trafnych spostrzeżeń roli pewnej sanacyjnej posłanki. Teraz Trościanko uzupełnia je charakterystycznym fragmentem. Chodziło o to, że pani ta, wskutek swych powiązań legionowych, cieszyła się wpływami niejako nadetatowymi. Mimo iż podczas procesu „lewicy akademickiej” wyszło na jaw, iż jest to agentura bolszewicka, związana z wywrotową działalnością KPZB /Komunistycznej Partii Zachodniej Białorusi/, posłanka sanacyjna upodobała sobie bronić głównego prowadzącego tej jaczejki, Henryka Dembińskiego. Tymczasem prokurator oskarżający nie potraktował tego świadka obrony z rewerencją należną wysokim ustosunkowaniom. I oto w kancelarii prokuratora zjawia się trzech panów oficerów, z bronią u pasa, w białych rękawiczkach i td. itd... Tym razem nie doszło wprawdzie do pobicia. Ale nie oficerowie zostali ukarani za wybryki, lecz – prokurator przeniesiony...

Historyczne tło powieści Trościanki nie stanowi jednak jakowejś jednostronnej krytyki, tym mniej „rozprawy” z rządami „sanacji”. Przeciwnie, autor ocenia bezstronnie i „własną stroną”. Oto np. bohater powieści, Michał Oszurko, udaje się na wiec zorganizowany na Pradze w Warszawie, przez Stronnictwo Narodowe:

” ... na deski mównicy wchodzi młody, przystojny mężczyzna... Koledzy! ... Nad Czechosłowacją wisi już śmiertelne niebezpieczeństwo... To prawda, że nam Zaolzie podstępnie zabrano. Ale to także prawda, że nie wolno nam regulować tej sprawy w spółce z Trzecią Rzeszą! . Kierownictwo Stronnictwa jest przeciwne udziałowi Polski w akcji przeciwko Czechosłowacji. Nie tędy droga do Wielkiej Polski! Nie po drodze nam z maszerującym, głodnym, wilczym germanizmem...

„Michał powoli zapalał się i wtapiał w masę. Klaskał, gdy klaskały dłonie grube jego sąsiadów. Pokrzykiwał „Nie pozwolimy „Wara”!... Już, już utozsamiał się z nimi, gdy nagle na słowa „Wielkiej Polski moc – to my”, podniosły się w pozdrowieniu wyciągnięte ręce. Patrzył jak obudzony ze snu. Dlaczego? Przecież przed chwilą ten młody człowiek tyle mówił o stylu rycerzy spod swastyki. Tyle miał racji, ośmieszając ponurość ich parademarszów. A czymże jest ten nadęty gest wyrzuconej ręki?”

Jedną z najsympatyczniejszych postaci powieściowych to piłsudczyk, współpracownik sanacyjnego organu w Warszawie. Ciekawe są ustępy dotyczące bezpośredniego zetknięcia z marszałkiem Rydzem-Śmigłym. Wbrew powszechnie następującej opinii – nawet wśród tych, którzy go wówczas windowali na cokolwiek nowego kultu /”zwyciężymy, bo z nami Śmigły Rydz!”, a teraz ściągają z tego cokołu na poziom niefortunnego następcy „genialnego” poprzednika – potraktowany jest Rydz-Śmigły w powieści Trościanki ze spokojną raczej sympatią. Był grzeczny i skromny. Czym się wyróżniał wśród otaczających go kult-macherów. Osobiście wydaje mi się, że Rydz-Śmigły nie był winien fatalnej przegranej w kampanii wrześniowej. Ostatecznie odziedziczył tylko taką siłę zbrojną, jaką po piętnastu latach „gier wojennych” pozostawił mu w spuściźnie Piłsudski. Miał za mało czasu i środków, aby dokupić trochę czołgów, samolotów, nowoczesnego sprzętu. Co zdążył, to zrobił. Ale nie mógł zdążyć. Stosunek sił na korzyść wroga był właśnie: fatalny. A po wkroczeniu bolszewików: beznadziejny. Jako wódz naczelny przegranej kampanii, zapłacił za to niechęcią ze

strony potomności. Byłby to los dosyć konsekwentnie /winien czy nie winien/ rozpowszechniony wszędzie indziej. Gdyby nie zdarzył się paradoks, że ci, którzy nie tylko przegrali, ale stawiali na drugiego wroga, a obecnego okupanta, i pomagali mu do zwycięstwa – doszli dziś do zaszczytów i chadzają po obu stronach w aureoli bohaterów narodowych.

Dobrze podcieniowany jest w powieści Trościanki optymizm, zarówno ten urzędowy, jak nieurzędowy, wobec zawisłej nad Polską groźby wojny. Wiara we własne siły, których nie było. Klęska, rozczarowanie, rozpad. Ucieczki, tułaczki, i konwersacje już bez znaczenia.

Do szczególnie udanych ustępów powieści zaliczyć wypada świetne sceny batalistyczne. Z umiarem, bez malowanej bohaterowszczyzny, przedstawione są działania bojowe, odwroty, rozkazy w próżnię, pękające granaty, zaciśnięte zęby walczących...

Tak się kończyły projekty na przyszłość obojga młodych, Michała i Maryli Oszurków, a zarazem i przyszłość ich ojczyzny. Tej od złej, i tej od dobrej strony.

Trościanko nie zgęszcza barw tej złej strony. Przeciwnie, pominął niejedno: nie wspomniał Brześcia, ani Berezy, ani wielu innych jawnych i pokątnych dramatów, które nazwał raczej dramatem epoki nie jednego pokolenia. Napisał to co chciał, nie „kłamiąc za ojczyznę”, jak to w modzie. I to jest, sądzę, ważne w tym co napisał. Kłamstwo zostawmy tym, którzy na łgarstwie budują, i dlatego bez niego obejść się nie mogą, bo im ich budowla się rozleci.

Pomijam ustępy powieści poświęcone ciekawym rozważaniom prof. Adama Żółtowskiego na temat miejsca i wizji Polski. Chciałbym tylko jeszcze stwierdzić, że taka jaka była w tamto dwudziestolecie, przy wszystkich brakach, nadużyciach i nawet gwałtach, była to jednak, w porównaniu z dzisiaj komunistyczną, twarz wolności. Bardzo niedoskonalej, to prawda. Od niej więc powinna by zacząć się ewolucja ku udoskonaleniu. Z perspektywy emigracji: „Poprawka do nostalgii”, jak to ładnie nazwał Czesław Jeśman, w recenzji o książce Trościanki w „Tygodniu Polskim”. Cios jaki spotkał nas, urodzonych z ludzką twarzą, polega moim zdaniem na tym, że dziś, po trzydziestu latach, zmusza się nas do wyrzeczenia się tej twarzy na rzecz „komunizmu /socjalizmu/ z ludzką twarzą” i każe zaczynać ewolucyjne udoskonalenia nie od wolności, lecz od doskonalenia najgorszej niewoli. Po co nam to potrzebne? Nam, nie; ale tym, którzy rządzą współczesną epoką świata. W tym właśnie dostrzegałbym sedno naszego wieku klęski, która szczególnie dotknęła nie tylko nas, ale całą wschodnią Europę.

Pod tym tytułem: „Wiek klęski”, zapowiedziany jest dalszy ciąg losów Michała Oszurki z Wilna. Nie mogę wiedzieć, co autor zechce czytelnikowi pod tym znakiem ukazać i jak tę klęskę zinterpretować. Jestem bardzo ciekaw. Sądząc po ciekawej i doskonale napisanej pierwszej powieści.

„Wiadomości”/Londyn/nr 38/1277/z 1970 r.